Rok XIII. We Lwowie dnia 6. lipca 1905. Nr. 28.

GAZETA KOŚCIELNA

Przedpłata: roczna . . 11 Kor.
półroczna . 6 „
kwartalna . 3 „
Rękopisów przyjętych do druku Redakcya nie zwraca.

PISMO POŚWIECONE SPRAWOM KOŚCIELNYM I SPOŁECZNYM.
ORGAN TOWARZYSTWA WZAJEMNEJ POMOCY KAPŁANÓW.
Wychodzi co czwartku.

Redakcya, Administracya i Ekspedycya: Prob. NMP. Śnieżnej, ul. Śnieżna 2.
Inseraty przyjmuje się za opłatą 20 hal. od wiersza petitu.
Reklamacye otwarte wolne są od opłaty pocztowej.

Dowód kosmologiczny na istnienie Boga.

2. Skąd się wziął ruch w atomach?

Materyaliści sądzą, że byle tylko początek istnienia atomów, jako tako przemycić, potrafią już wytłómaczyć bez Boga choćby i wszechświat cały. A tu nic z tego. Zanim wolno im będzie, jak usiłują, ewolucyą atomów wytłómaczyć powstanie rośliny, zwierzęcia, a nawet jak chcą człowieka, wprzód muszą odpowiedzieć na pytanie, skąd się wziął ruch atomów? Skąd ruch ciał niebieskich, z atomów złożonych? Wszak bez ruchu nie byłoby chyba i ewolucyi, a zatem i życia!

Ruch można pojmować w ściślejszem słowa znaczeniu i w ogólniejszem. W ścisłem znaczeniu rozumie się tylko ruch lokalny; w obszerniejszem, każdą zmianę dostrzeżoną na rzeczy, każde przejście z jednego stanu jakiej rzeczy w inny, nowy, można nazwać ruchem. My w jednem i drugiem znaczeniu, wyraz ruch weźmiemy i przekonamy się, że w jednem i drugiem, ruchu bez interwencyi Bożej wytłómaczyć nie można. Argumenta na ruchu lokalnym oparte są łatwiejsze i bardziej może widoczne, na ruchu wziętym w znaczeniu ogólnem, zato głębsze i obejmujące cały wszechświat, wszelką w nim zmianę.

Nauka i doświadczenie nas powiadamiają, że ciała niebieskie, znajdują się w ustawicznym ruchu. Pytanie, skąd się ten ruch w nich wziął? A można jeszcze dalej się cofnąć z tą kwestyą i pytać, skąd się wziął ruch w atomach. Bo to pewna, że aby atomy utworzyły ciała niebieskie, musiały się wprzód poruszać. Wiadomo, że atomy, jak wogóle wszelka materya, są bezwładne t. z., że wprawione w ruch same przez się nie zatrzymują się i znowu ze stanu spoczynku same nie pójdą w ruch. Same ze siebie są obojętne na ruch lub spoczynek; w jednym z tych stanów muszą się znajdować, ale wszystko im jedno, w którym. Skąd się tedy w nich wziął ruch, kiedy one tak samo dobrze mogłyby być w spoczynku choćby przez całą wieczność. jak są dziś w ruchu? Do natury atomów ruch pewnie nie należy, bo inaczej nigdyby w spoczynku się znajdować nie mogły, czemu się sprzeciwia doświadczenie, a i wspomniane prawo bezwładności. A zatem: Ponieważ przyczyna wszelkich zjawisk, albo leży w naturze samej rzeczy, albo pochodzi od jakiej przyczyny zewnętrznej, ruch atomów, ponieważ nie pochodzi z samej natury atomów, musi pochodzić od jakiej przyczyny poza nimi się znajdującej.

Zabiegają materyaliści temu wnioskowi i powiadają: ruch atomów jest wieczny. Ale najpierw to nie jest odpowiedź na pytanie, skąd się wziął ruch atomów, to tylko stwierdzenie, że nie miał początku, ale bynajmniej nie usuwa kwestyi, skąd się wziął. Bo jeśli materya sama nie mogła się poruszyć, to, czy w czasie, czy w wieczności, ktoś ją musiał pchnąć w ten ruch.

A nadto, gdy atomy były wiecznie w ruchu, to proces ewolucyjny wszechświata, rozwój ustawiczny, zmierzający ostatecznie do zamarcia, skoro miał całą wieczność za sobą, powinien był już dawno się skończyć. Odpowiadają na ten zarzut materyaliści, że kiedy już życie zamrze na naszym globie, nastanie wtedy katastrofa, zderzenie się ziemi z inną planetą lub ze słońcem, rozbicie się jej w mgławicę, pył i znów powtórzy się rozwój obecny. Tak było, mówią, od wieków. Świat dzisiejszy jest powtórzeniem tylko już dawniej istniejącego.

Powiemy, co nauka pozytywna o tych ustawicznych zderzeniach utrzymuje. Otóż uczeni naturaliści dowodzą, że ta hypoteza jest mrzonką, bo choćby te zderzenia się powtarzały, ciepło powstałe ze zderzenia dwóch słońc, nigdy nie zdoła dorównać ciepłu mgławicy, z której te słońca się utworzyły. I za każdem zderzeniem suma ciepła zmniejszać się będzie. Wskutek tego te zderzenia będą coraz słabsze, aż w końcu ustaną i ruch wszelki będzie niemożliwy [1]). Dla zrozumienia wywodu wspomnianego uczonego pamiętać trzeba, że według prawa przyrody, stwierdzonego przez Clausiusa, wszelkie ruchy w przyrodzie wytwarzają ciepło, które znowu potem zamienia się na ruch. Ale nigdy wszystko ciepło nie przemienia się na ruch. Część ciepła zostaje nieprzemieniona. Przemiana ta możliwą tylko wtedy, kiedy między ciałami są różnice temperatury: wtedy jedno ciało ogrzewając drugie wprawia je w ruch. Kiedy więc temperatura będzie wszystkich ciał jednaka, co musi nastąpić wskutek nadwyżki ciepła niezużytej i nieprzemienionej na ruch, wtedy nastanie powszechny w przyrodzie zastój. Z tego wypływa, że choćby nawet, jak chcą materyaliści, zderzenia planet miały miejsce, tych zderzeń byłoby niewiele, wskutek zrównanej temperatury zderzenia musiałyby ustać.

A więc ruch materyi nie był wieczny, jak chcą materyaliści, choć nawet, jak wykazaliśmy, i wtedy nie obeszłoby się bez przyczyny zewnątrz atomów się znajdującej, wywołującej ich ruch. Widzą też sami materyaliści niewłaściwość w uciekaniu się do ruchu wiecznego, przeto inny wynaleźli wał ochronny, zda im się nie do zdobycia, swego systemu bez Boga: siłę przyciągania ciał.

---

[1]) Hirsn, Constitution de l'espece céleste u Dnilhon de S. Projet, Apologia naukowa str. 137.

Powiadają, że ciała się nawzajem przyciągają, więc, by ruch powstał w atomach, wystarczy ta własność ciał, a przyczyny zewnętrznej, ruch wywołującej, nie potrzeba. Przypatrzmy się temu twierdzeniu. Tłómaczą nam materyaliści możliwość takiego ruchu w ten sposób, że mówią, w tych miliardach atomów, unoszących się w przestrzeni, powstały gdzieniegdzie środowiska (centra) z kilku atomów złożone, a to już wystarczyło, aby inne atomy ku sobie pociągnęły. Tak powstał ruch w atomach i utworzenie się ciał, Ale zaraz nasuwa się pytanie, dlaczego te środowiska powstały? Skąd się wzięły, kiedy ich pierwotnie nie było, a atom jest obojętny na to, czy ma być częścią składową jakiego środowiska, czy też istnieć w odosobnieniu?

Odpowiadają: środowiska potworzyły się przypadkiem. Ale to odpowiedź grubo nienaukowa. Zasłaniać się przypadkiem t. z. przyznawać się do ignorancyi, boć każde nowe zjawisko musi mieć przyczynę, więc, kto przypadek podaje zamiast przyczyny, chce powiedzieć, że nie zna przyczyny. Więc bez przyczyny potworzyły się środowiska? To niepodobna, zaprzeczylibyśmy prawa przyczynowości. Ta przyczyna nie może leżeć w samych atomach, a więc trzeba jej szukać poza nimi.

Ale nie przypierajmy zbytnio materyalistów do muru, bo jeszcze nieraz będą musieli poświęcić logikę w obronie swego systemu bez Boga.

Dajmy na to, że te środowiska, już się znajdują, ale oto nowa trudność. Wiadomą jest rzeczą, że nie z każdej odległości ciała się przyciągają, tylko muszą się znaleść w pewnej ściśle oznaczonej. Dlaczego właśnie owe atomy znalazły się od środowisk w odległości potrzebnej do ich przyciągania? Atomów, jak uczeni podają, w stosunku do przestrzeni wszechświata jest nie wiele, tak, że gdyby je rozrzucił po tej przestrzeni, znalazłyby się w takiej odległości od siebie, że nigdy na siebie nie działałyby, nie przyciągały się, bo oddalenie ich wzajemne byłoby za wielkie. Więc kto te atomy ustawił w potrzebnej odległości od środowisk? same się tak nie ustawiły, bo są obojętne na położenie w jakiemkolwiek miejscu.

Ale idźmy dalej. Przypuśćmy, że wskutek zbiegu atomów do najbliżej położonych środowisk, już się ciała potworzyły, pytanie, dlaczego te środowiska znalazły się od siebie znowu w takiem oddaleniu, aby ciała utworzone nawzajem, na siebie działać mogły, a nie zbijały się w jedną masę, lub się nie rozpierzchły gdzieś po przestrzeni? Ale i to pominąwszy, jeszcze przyjdzie wytłómaczyć, skąd się wziął ruch ciał około swej osi? Bo jeśli prawdą jest, że cała ta olbrzymia mgławica poczęła krążyć około swej osi i wskutek niezmiernej jej szybkości na równiku, poczęły się części tej masy odrywać i potworzyły coraz inne planety, to jeszcze stoi nierozwiązane pytanie, kto tę olbrzymią masę mgławicy pchnął w ruch obrotowy około jej osi?

Oto jakie kłopoty sprawia materyalistom sam ruch lokalny.

Jak powiedzieliśmy na początku tego artykułu, argument z ruchu da się jeszcze w inny sposób przedstawić, tak mianowicie, że będzie obejmował ruch nietylko lokalny, ale wszelkie gatunki ruchów, czyli zmian na ciałach dostrzegalnych, jak zmiany fizyczne, chemiczne, substancyalne, przygodne itd.

Argument ten, jak wyżej zaznaczyłem jest nieco przytrudny, dlatego czytelnik winien się uzbroić w cierpliwość i pierwszą trudnością się nie zrażać. Trud się opłaci.

Argument da się tak przedstawić: Widzimy, że wszystko na świecie podlega zmianom. Ciała nieorganiczne rozsypują się, pruchnieją, przechodzą jako składniki pokarmu w ciała organiczne. Rośliny, zwierzęta, człowiek nawet w swej części materyalnej, różnym podlegają zmianom, tak istotnym, jak przypadkowym. A nawet dusza, rzec można, jest w ustawicznym ruchu. Raz myśli, to znów myśleć przestaje, raz chce tego przedmiotu, to znów tamtego, tysiące pragnień przez nią ustawicznie się przesuwa i znika, aby zrobić miejsce nowym i tak wiecznie bez końca. Zjawisko tedy zmienności jest uniwersalne, obejmuje wszystkie znane nam istoty. A teraz znowu uzasadnimy znane z filozofii prawo, że nic nie może podlegać zmianom, bez wpływu przyczyn zewnętrznych.

Przejdźmy w tym celu wszystkie istoty zmienne, zobaczymy, że wszędzie zmianę wywołała jakaś przyczyna zewnętrzna. Materya nieorganiczna widoczną jest rzeczą, ulega zmianom pod wpływem przyczyn zewnętrznych, sama bowiem, będąc bezwładną, w nowy stan, na czem zmiana polega, z dawnego przejść nie może. Widzimy też, że skały pękają pod wpływem zmian atmosferycznych, minerały, kamienie wytwarzają się pod wpływem ognia i t. d., nieorganiczne ciała wchodzą w organiczne, jako pokarm, wciągane przez nie i tam przerabiane.

Rośliny bez ciepła, światła, pokarmu z powietrza i ziemi czerpanego, nie mogłyby żyć ani róść, a więc podlegać zmianom.

Zwierzęta poruszają się pod wrażeniem zewnętrznych przedmiotów, a życie ich, wzrost, tak samo jak roślin, zależne od wpływu przyczyn poza niemi się znajdujących. Człowiek jeśli mamy na względzie jego ciało i część zmysłową, tym samym, co zwierzęta ulega prawom. Ale nawet rozum i wola działają tylko pod wpływem zewnętrznym.

Wola nie pożąda dobra innego, (a ono jest przedmiotem jej pożądania) tylko przez rozum lub przez zmysły jej wskazanego, a więc zostaje pod wpływem czynnika poza nią się znajdującego.

Rozum znowu zależny jest w swych czynnościach od wielu wpływów zewnętrznych. Najprzód od świata zewnętrznego. Wszak dusza nasza jest początkowo jakby tabula rasa i dopiero wrażenia od przedmiotów zewnętrznych pochodzące, ją zapisują. A od zmysłów tak zewnętrznych, jak wewnętrznych, jakżeż bardzo zależnym jest rozum! Kto się urodził ślepym czy głuchym, nie ma pojęcia o kolorach i tonach. Jeśli mózg człowieka jest zaatakowany, myślenie w porządku odbywać się nie może. Ten wpływ zmysłowy na działanie rozumu jest tak wielki, że dał materyalistom okazyę do twierdzenia, jakoby między poznaniem duchowem, a zmysłowem nie było jakościowej różnicy. Błądzą w tem, ale wpływu zmysłowych władz na duchowe czynności zaprzeczyć nie można.

Prawdą tedy jest, że wszelka zmiana, czyto cielesna czy duchowa, jest zawsze powodowana wpływem jakiej przyczyny zewnętrznej. Człowiek odbiera wrażenie od świata zewnętrznego, zmiany znowu w samym świecie zewnętrznym, wywołujące w umyśle naszym nowe wrażenia, dokonują się i same pod wpływem innych ciał, zmieniając drugie i same już przez inne musiały być zmienione i t. d. i t. d. Ale każdy to rozumie dobrze, że w tym łańcuchu zmian, musimy się gdzieś zatrzymać, przy kimś stanąć, który pierwszą zmianę wywołał, aby ta inne bez końca sprawiała, a sam jest niezmienny. Bo gdyby i on podlegał zmianie, na nowo odżyje cała kwestya i wróci pytanie, a kto w nim tę zmianę spowodował?

Materyaliści zaraz w swej lekkomyślności wołają: Po co się zatrzymywać w tym szeregu przyczyn zmieniających i zmienianych, przyjmijmy ten szereg nieskończony, a obejdziemy się bez pierwszej przyczyny, wywołującej pierwszą zmianę. Czy tak? Zobaczymy. Uzmysłowimy rzecz na kilku przykładach. Wyobraźmy sobie łańcuch z niezmiernej liczby ogniw się składający. Łańcuch ten zawiesiliśmy gdzieś wysoko bardzo. Na pytanie co trzyma najniższe ogniwo tego łańcucha, odpowie-

my, że bezpośrednio poprzednie, a to znowu poprzednie i t. d., ale jeśli rozumnie postępować, to musimy przyjąć, że aby łańcuch wisiał, musi któreś z ogniw opierać się na jakimś stałym punkcie.

Wyobrażamy sobie znowu, choćby nieskończoną liczbę zwierciadeł tak ustawionych, że przedmiot jakiś odbity w jednem zwierciadle, odbija się z niego w drugiem, z tego w trzeciem i t. d. Czyliż człowiek rozumny przypuści, że aby powstawały obrazy w zwierciadłach, odbite z innych zwierciadeł, nie potrzeba przedmiotu realnego, któryby poza pierwszem zwierciadłem się znajdował, i pierwszą odbitkę w niem powodował? Wyobraźmy sobie niezmiernej długości pociąg. Czy ruch tego pociągu da się wytłómaczyć, bez lokomotywy, któraby ciągła pierwszy za nią umieszczony wagon, a za jego pośrednictwem inne, a sama już nie była przez inne ciągniona? Czy dlatego, że jeden wagon ciągnie drugi, lokomotywa jest zbyteczna?

Istnienie płynącej wody w kanale nieskończonej choćby długości, nie da się pojąć, jeśli nie będzie gdzieś źródła. Głupstwem jest wyobrażać sobie nieskończoną ilość samych kopij jakiegoś obrazu, jeśli się nie przyjmie, że oryginał tego obrazu istnieje. Łańcuch z samych przyczyn zależnych od innych złożony, równa się jednej przyczynie zależnej. Przeto tak samo, jak jedna przyczyna zależna, nie będzie działać, jeśli przez inną nie zostanie wprawiona w ruch, tak i nieskończony szereg przyczyn zależnych. Dopóki po za tym łańcuchem nie będzie zależnej przyczyny, wpływającej na ten łańcuch, ruch się nie zacznie. Przyczyną taką nie może być, rzecz widoczna, materya, bo materya, aby mogła wywoływać zmiany w innych ciałach (naprzykład poruszać inne ciała, wpływać na zmiany chemiczne) sama musi wprzód ulec zmianom, sprawionym przez kogoś poza nią istniejącego. Człowiek również świata poruszać nie może. Widoczną jest to rzeczą, kiedy chodzi o ruch lokalny ciał niebieskich, bo one niezależnie od człowieka się poruszają ,ale również, kiedy chodzi o innego rodzaju zmiany, bo wykazaliśmy, że sam człowiek podlega zmianom, a tu trzeba koniecznie kogoś, któryby wywołując w drugich zmiany sam się nie zmieniał.

Więc może to tylko być istota duchowa, ale znowu taka, żeby nie podlegała zmianom w swem działaniu. Działania istoty duchowej odnoszą się do rozumu i wolnej woli. Przedmiotem rozumu jest prawda, woli dobro. Otóż istota o którą nam chodzi, musi być duchem nieskończonej doskonałości, bo tylko taki duch, poznając jednym aktem rozumu całą prawdę i całe dobro, posiadając aktem woli, nie może podlegać zmianom, ani w nabywaniu prawdy nowej, ani dobra, bo poza całą prawdą, ani poza całem dobrem, już nie ma innej prawdy, ani innego dobra. Takiego ducha nazywamy Bogiem.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Kronika Kościelna.

O. Hartmann an der Lan i jego najnowsze Oratoryum »Ostatnia Wieczerza Pańska«. — Ś. p. ks. Jan Tkalczic, słynny historyk narodu kroackiego. — Dalsze debaty Izby paryskiej nad rozdziałem Kościoła od państwa. — Okólnik Ojca św. do biskupów francuskich w sprawie kongregacyi zakonnych. — Francuskie fundacye narodowe w Rzymie i nowy ich zarządca. — Charakterystyka katolików francuskich i ich stanowisko w obecnej dobie kulturkampfu. — Japonia uczy Rosyę rozumu a może Niemcy zaczną uczyć Francyę. — Świeże dwa wakansy na stolicach biskupich w Digne i Frejus we Francyi. Jubileusz Mgra Belopotoczky'ego i jego zasługi dla armii naszej monarchii. — Wiedeńska »Freie Schule« i jej cele wrogie Kościołowi i państwu.

Zaszczytnie znany w literaturze członek zakonu Braci Mniejszych z prowincyi północnego Tyrolu O. Hartmann an der Lan-Hochbrunn urodzony r. 1863 w Salurn, dyecezyi trydenckiej, ogłosił znów drukiem najnowsze przez siebie skomponowane oratoryum, które ma za przedmiot Ostatnią Wieczerzę Pańską. Dnia 24. maja b. r. odbyło się pierwsze wystawienie tegoż oratoryum przez królewską szkołę muzyczną we Würzburgu, pod kierownictwem radcy dworu Dra Kliefert, a w obecności kompozytora. Użyto do tego chóru składającego się z 390 śpiewaków i 76 instrumentów muzykalnych. Według sprawozdania zawartego w »Köln. Volksztg.« rezultat był wspaniały. Oratoryum to, do którego tekst ułożył Mgr. Jakób Ghezzi biskup z Civitá Castellana, Orte i Gallese w dawnem państwie kościelnem i współbrat zakonny kompozytora, dzieli się na dwie części. Pierwsza omawia Paschę żydowską, druga Paschę chrześcijańską; a jak Stary i Nowy Testament stoją w najściślejszym związku, pierwszy bowiem dopełnia się w drugim, tak też i pojedyncze części oratoryum są ściśle złączone ze sobą i uzupełniają się wzajemnie. W pierwszej części występuje na jaw pierwiastek tragiczny, który kończy się zdradą Judasza, a stosownie też do tego muzyka jest ożywioną akcentem dramatycznym i poniekąd wzburzoną. W części zaś drugiej wszystkie dyssonanse rozwiązują się w prawdziwie zachwycającej harmonii, muzyka przeto przybiera więcej spokojną i wewnętrzną cechę. I jeśli poprzednie oratorya O. Hartmanna an der Lan »św. Piotr« i »św. Franciszek«, spotkały się w Niemczech z rozlicznemi zarzutami, to rzec można, że ostatnie to oratoryum pozyskało ogólne uznanie... Przy każdym bowiem utworze religijnym, należy dobrze odróżnić pomiędzy religijnem, a czysto estetycznem wrażeniem, jakie sprawia. A przy »Ostatniej Wieczerzy«, choćby się nawet przemilczało o wrażeniu, jakie się odnosi słysząc porywający tekst łaciński, to w każdym razie i sam artyzm, z jakich ułożono oratoryum, domaga się, aby dzieło to stanęło na czele wszystkich tego rodzaju stwarzanych od czasów Liszta utworów. Aby O. Hartmanna zrozumieć należycie, potrzeba umieć wniknąć w jego zamiary, w jego artystyczną duszę!... On pragnie przedewszystkiem, aby jego oratoryum odpowiedziało swemu właściwemu, a pierwotnemu celowi t.j., aby służyło ku religijnemu zbudowaniu i podniesieniu ducha ku Bogu. W ten sposób określa się sam przez się i charakter jego muzyki. Środki wprzęgają się same w służbę idei, tak, że niekiedy zmienia się pod ręką mistrza nawet i forma dawna w podaniu zawarta, lecz zmienia się zawsze tylko na korzyść dzieła. Muzyka O. Hartmanna w porównaniu z innemi nowoczesnemi oratoryami, jest względnie bardzo pojedyńczą i nie przesadną, oddaje prawdę bez używania zbytniego, a często fałszywego patosu i bombastyczności. Pod względem techniki, wystarczy spojrzeć w partyturę, aby ocenić doskonały artyzm mistrza. Rzec można, że idealnie są opracowane głosy dla śpiewaków, wzorowo podłożony tekst, znakomity sposób instrumentacyi, która nader szczęśliwie umie utrzymać zasadę melodyi dla wszystkich instrumentów. A już pierwsze wśród innych doskonałych ustępów miejsce zajmuje chór kobiet »Ave corpus Christi natum«... Powiadają, że od »Ave verum« Mozarta nic podobnego dotychczas nie zostało ułożonem.

Dla Kroacyi czarnemi głoskami zapisuje się rok 1905. Zaledwo miesiąc upłynął od zgonu ubóstwianego przez Kroatów i Słoweńców biskupa Strossmayera, a już znów 11. maja b. r. otwarła się świeża mogiła... Jeden z najznakomitszych historyków kroackich, ks. Jan Chrzciciel Tkalczić, urodzony w Zagrzebiu 4. maja 1840, a od

r. 1867 prebendarz kościoła archikatedralnego w Zagrzebiu, zakończył swój pracowity, a miłości Ojczyzny zupełnie oddany żywot. Działalność swą literacką rozpoczął bardzo wcześnie, bo licząc zaledwo 19 lat życia. Pisał mnóstwo artykułów treści historycznej do rozmaitych czasopism, a nadto wielce cenne dzieła »Monumenta Civitatis Zagrebiensis« w 11 tomach i »Monumenta episcopatus Zagrebiensis«, które zjednały mu rozgłos w świecie naukowym i stały się powodem powołania go w r. 1883 w poczet rzeczywistych członków akademii umiejętności w Zagrzebiu założonej, jak wiadomo przez Mgra Strossmayera. Ostatnią jego pracą »Liturgia slavica in regno Croatiae« wydana r. 1904, w której wykazuje starodawność głagolicy w liturgii używanej w kościele katolickim w Kroacyi i przypominając słowa uczonego Jezuity O. Ferlatti »sed ut cetera desint, huic liturgiae slavicae potissimum suffragatur et firmissimo praesidio est vetus ac diuturna consuetudo et multarum aetatum possessio, quam moveri non aequitas non leges patiuntur« obstaje za wprowadzeniem tejże liturgii nawet i w tych parafiach, gdzie takowa dotychczas nie była używaną. Co do tej sprawy odsyłam czytelników do tego, co z okazyi śmierci Mgra Strossmayera, a następnie z powodu konferencyi biskupów południowej Słowiańszczyzny, odbytej przed miesiącem w Rzymie napisać miałem sposobność w kronice.

A teraz znowu wypada mi zająć się Francyą, owem niegrzecznem dzieckiem Kościoła św. W obradach nad ustawą rozdziału państwa od Kościoła, starali się socyaliści i masoni usunąć przy pomocy 5. i 6. artykułu te ulgi, jakie Izba uchwaliła przy artykule 4. Katolicy francuscy, a zwłaszcza wielu z owych łatwowiernych i zbyt optymistycznie zapatrujących się na perfidyę rządu paryskiego, — wierząc w to, co Ribot w pałacu burbońskim wyrzekł o niesprawiedliwości, gdyby państwo miało rozporządzać majątkami przeznaczonemi na fabrykę kościołów, poczęli ufać, że Rouvier i jego klika zmiękną i nie zechcą prowadzić do ostateczności. Tymczasem czterodniowa debata rozpoczęta 23. maja, wykazała jak się oni pomylili w swych dobrodusznych przypuszczeniach... Przyjętym został art. 6, który powiada, że w ciągu roku, licząc od dnia promulgacyi obecnej ustawy, wszystkie ruchome i nieruchome posiadłości stołowe, fabryk kościelnych, konsystorzy, zjednoczeń kapłańskich i innych publicznych instytucyi wyznaniowych wraz ze wszelkiemi zobowiązaniami, przechodzą z prawnych zastępców tychże instytucyi na zjednoczenia czy stowarzyszenia odpowiedne kultom, za których wykonywanie one gwarantują, o ile owe stowarzyszenia czy zjednoczenia mają podstawę prawną, tj. w myśl § 17. art. 6. A paragraf ten orzeka, że w razie, jeżeli jedno z wyż wspomnianych instytucyi kościelnych nie przystąpi w ciągu ściśle oznaczonego czasu do rzeczonego przeniesienia swego majątku, traci prawo do tegoż, a wtedy nabiera mocy prawnej dekret, mocą którego majątek cały ulega sekwestracyi.

Ojciec św. w połowie czerwca wydał okólnik do biskupów francuskich, w którym poucza ich co do rozlicznych kwestyi, z któremi zwrócili się do kongregacyi rzymskich. Przedewszystkiem poleca papież, aby w przyszłości nie zezwalano pod żadnym warunkiem na t. z. pozorne sekularyzacye osób należących do jakiegoś zakonu, czy kongregacyi zakonnej. Tego rodzaju sekularyzacye dawały już nieraz powód do rozmaitych nadużyć, gdyż zakonnicy żyjąc pojedyńczo jako kapłani świeccy, narażani bywają na zbyt wielkie niebezpieczeństwa, a stąd trudność dla nich wypływa nie mała, dochowania ślubów zakonnych. Domaga się przeto Stolica św., aby zakonnicy albo powracali do klasztorów swego zakonu, albo według przepisów kanonicznych starali się o prawdziwą i jedynie ważną sekularyzacyę, której im z powodu dzisiejszych stosunków we Francyi udzielać będzie kongregacya Biskupów i zakonników; lepiej bowiem będzie dla nich, jeśli żyć będą w świecie uwolnieni całkowicie od ślubów, nie mogąc znaleść przyjęcia w klasztorze. Okólnik ten zawiera dalej nowe postanowienia, co do wszystkich nowszych kongregacyi zakonnych i męskich i żeńskich. W żadnej z tychże kongregacyi nie mogą odtąd superyorowie generalni, ani też superyorowie domów czy klasztorów sprawować dożywotnie swego urzędu, i wolno ich wybierać tylko na lat trzy, jedynie zaś dla ważnych powodów Stolica św. będzie potwierdzać ich wybór na drugie trzy lata. Przestrzega papież, aby nie przyjmowano zbyt łatwo i pospiesznie nowych członków do domów zakonnych i żeby postępowano bardzo ostrożnie, zwłaszcza z małoletniemi osobami, dla których należy przedtem uzyskać pozwolenie ze strony rodziny. Wnet mają wyjść jeszcze dalsze orzeczenia, dotyczące życia zakonnego przedewszystkiem w nowszych kongregacyach, które co chwila i bez wyraźnego celu powstając nieraz bynajmniej nie przynoszą ni korzyści, ni chwały Kościołowi.

Rząd francuski zamianował nowego zarządcę dla swych fundacyi narodowych w Rzymie; zastępca ten, na którego upatrzono byłego konzula, będzie podlegał bezpośrednio ministrowi spraw zagranicznych. A fundacyi owych jest wiele, bo oprócz wielkiego kościoła narodowego św. Ludwika, posiada Francya w Rzymie jeszcze następujące kościoły: S. Trindta dei Monti, S. Dionisio, S. Ivone dei Bretoni, S. Claudio dei Burgundi, przy którym znajduje się dom generalny Oblatów Przenajśw. Sakramentu, i S. Ludovico dei Lotaringhi. Jeden tylko kościół św. Ludwiki (S. Lodovico dei Francesi) ma ustanowiony do swej obsługi kler narodowy, złożony z 12 kapelanów, inne zaś rzeczone kościoły zostały wydzierżawione wraz z przylegającemi do nich klasztorami różnym kongregacyom zakonnym. Prezesem rady nadzorczej zarządzającej temi fundacyami był dotąd zawsze francuski ambasador ustanowiony przy Stolicy św. Obecnie po odwołaniu ambasadora musiano się oglądnąć za inną osobistością, którejby powierzono ten obowiązek; zarządca tu jednak niema zgoła nic wspólnego z urzędem dyplomatycznym i nie będzie potrzebował stykać się w niczem z Watykanem.

Tymczasem przepaść między rządem francuskim, a Stolicą św. tworzy się coraz głębsza i coraz trudniejsza do wyrównania. Posiedzenia Izby deputowanych w Paryżu są najwymowniejszym dowodem, jak bardzo zanika uczucie katolickie i religijne we Francyi. Gdy rewolucyoniści prześcigają się w obelgach przeciwko Kościołowi i wierze św., naród francuski nie reaguje na to wcale i zamiast stworzyć przynajmniej tron w chwilach tak ciężkich, silną organizacyą i stanąć do boju z wrogami wiary i porządku społecznego, naród ten ogranicza się jedynie na narzekaniach w prasie, na wołaniu pomocy z Watykanu i koniec na tem!!... A Stolica św. nie jest w stanie bezpośrednio wystąpić przeciwko rządowi francuskiemu... Jak długo istnieje konkordat, Ojciec św. nie może zrobić ni jednego kroku, któryby mógł dać pozór nie przestrzegania artykułów konkordatu. Rząd czyha tylko, aby oskarzyć Stolicę św. o coś podobnego. Więc chociaż dziś — po zgonie nowych dwóch biskupów, o których niżej wspomnę — liczba wakujących stolic biskupich doszła do 13, a niektóre z tych są opróżnione od lat kilku, niema mowy o obsadzeniu tychże prędzej, niż za półtora roku tj. dopiero wówczas, gdy konkordat urzędownie zostanie zerwanym. Wprawdzie Izba paryska obraduje zaciekle nad owem przedłożeniem i zapewne jeszcze przed feryami ono całe przyjętem zostanie, lecz sprawa ta musi w dalszym ciągu przejść pod obrady senatu, co zaledwo może nastąpić w grudniu b. r. A jeśli w dodatku senatowi spodoba się poczynić jakoweś zmiany w owem przedłożeniu rządowem, to musi ono znów wrócić do Izby w roku przyszłym, a usta-

wa przez te alembiki przepuszczona i w końcu otrzymawszy sankcyę, może wejść w życie dopiero z dniem 1. stycznia 1907. Długi to zatem przeciąg czasu, i w Sekwanie wiele wody upłynie, a może, a może i spłucze brudy paryskie, bo w tym czasie wypadnie i wybór prezydenta republiki i wybór deputowanych, więc któż odgadnie, co to z tego wyniknąć może?.. I sprawa marokańska, co to już ministra spraw zagranicznych Delcassé'go z fotelu zmiotła ministeryalnego, a dużo już kwasów narobiła i nad Sekwaną i nad Spreą, łatwo może do tego czasu zgotować nowy Sedan Francuzom... Któż wie, czy Opatrzność, która przez pogańskich Japończyków przywodzi Rossyę szyzmatycką do opamiętania, nie zechce przez protestanckich Niemców wymierzyć sprawiedliwość katolickiej, ale i sprzeniewierzającej się swym tradycyom Francyi?... Bo dziwne nieraz już w dziejach świata były drogi tejże Opatrzności!...

W czerwcu zmarli znów dwaj biskupi francuscy, obydwaj należący do prowincyi kościelnej Aix. Pierwszy to biskup z Digne Mgr. Jan Hazera, gorliwością swą i nauką górujący nad biskupami francuskimi, przyjaciel znanego publicysty katolickiego Ludwika Veuillota, urodzony r. 1837, a prekonizowany na stolicę w Digne r. 1897. Drugim zaś jest zmarły w czasie wizytacyi biskupiej 17. czerwca biskup z Frejus (Toulon) Mgr. Eugeniusz Arnaud ur. 1834, a od 1898 rządca dyecezyi Frejus. — Trzynaście tedy owczarni pozbawionych pasterzy w chwili największego niebezpieczeństwa, gdy wilków stado coraz silniej wyje i coraz natarczywiej uderza na owczarnię; a ileż to jeszcze zapisać będzie można wakansów do czasu, w którym Stolica św. mając rozwiązane ręce, pocznie osieroconym dyecezyom naznaczać pasterzy secundum cor Dei?...

W dniu 7. czerwca minęło lat 15 od chwili, w której wolą Stolicy św. i Monarchy Mgr. Koloman Belopotoczky c. k. kapelan nadworny i dyrektor Augustineum powołany został na stanowisko apostolskiego wikaryusza polowego dla c. k. armii austro-węgierskiej. Skorzystał z tego kler wojskowy, aby oddać hołd swemu ukochanemu biskupowi, który z prawdziwie apostolską gorliwością sprawuje powierzone sobie obowiązki. Dość wspomnieć o jego podróżach wizytacyjnych rokrocznie odbywanych, które przedtem nigdy prawie miejsca nie miały. Mgr. Belopotoczky zwrócił też baczniejszą uwagę na wybór kapłanów mianowanych dla armii i marynarki, przez co przyczynił się niemało do podniesienia znaczenia i powagi kleru wojskowego, o którym w czasach dawniejszych niezbyt pochlebne wydawano świadectwa. Jego to staraniu, jego cierpliwości i wytrwałości przypisać należy wprowadzenie nauki religii, jako przedmiotu obowiązkowego i niedzielnych exhort w wychowawczych zakładach wojskowych i w tym to celu wyjednał on w ministeryum wojny dotacyę na utrzymanie duszpasterzy i profesorów duchownych we wszystkich tego rodzaju zakładach. On zainicyował sprawę uroczystego składania przysięgi przez żołnierzy, naukę religii dla rekrutów, dokładne przestrzeganie przepisów regulaminu służbowego co do uczęszczania żołnierzy na nabożeństwa w niedziele i święta, ścisłe wykonywanie obowiązków religijnych i t. d. Jego zasługą także, iż powierzono opiekę nad chorymi w szpitalach garnizonowych Siostrom Miłosierdzia.

Gorliwość biskupa o chwałę domu Bożego i należytą powagę czynności religijnych, skłoniła panie wojskowe, iż zawiązały stowarzyszenie dla sporządzania szat kościelnych dla kościołów i kaplic wojskowych, a przed paru tygodniami, wystawa tych aparatów urządzona w salach kasyna wojskowego we Wiedniu, wykazała wspaniałe rezultaty przez owo stowarzyszenie osiągnięte. — Pomnożenie etatu kleru wojskowego, podwyższenie rang dla tegoż, nowe, a przezemnie już dokładnie w Gazecie kościelnej omówione oznaczenie tychże rang, nowe przepisy służbowe dla kleru wojskowego, które określa dokładnie tegoż stanowisko i przywileje, jakoteż normuje jego działalność w sposób prawny, nowe postanowienia co do prowadzenia metryk wojskowych, zawierające cenne, a praktyczne wskazówki i jasne zasady, nowe przepisy co do ubioru kapłanów wojskowych, a wreszcie i nowe zarządzenia co do składania egzaminów konkursowych przez kandydatów ubiegających się o posady superyorów (dawniej proboszczów) wojskowych to wszystko jest dziełem Mgra Belopotoczky'ego, którego przeto słusznie nazwać można reformatorem kleru i życia duchownego w armii austro-węgierskiej. Nic zatem dziwnego, że ta działalność zjednała mu ogólną sympatyę, tak ze strony władz wojskowych, jak i ze strony podwładnego kleru. Monarcha odznaczył go godnością tajnego radcy i wielkim krzyżem orderu Franciszka Józefa, Wiedeń najwyższą odznaką, jaką rada miejska nadać może, podwójnym wielkim złotym medalem Salwatora, a kapłani wojskowi dali mu w dniu jubileuszu co mieli najdroższego, bo serce swoje!... Szesnastu superyorów wojskowych, a więc wszyscy z monarchii, proboszcz marynarki, proboszczowie akademii wojskowych, profesorowie duchowni zakładów wojskowych wraz z ministrem wojny zbrojmistrzem Pitreichem, szefem sztabu generalnego baronem Beckiem, generalnym adjutantem cesarskim hr. Paarem i komendantami korpusów wzięli udział w tej uroczystości i stanąwszy przed jubilatem złożyli mu prawdziwie zasłużoną daninę hołdu.

Wiedeńskie stowarzyszenie pod egidą masoneryi zostające »Freie Schule«, pracuje dalej w obranym kierunku wprowadzenia w życie szkoły bezwyznaniowej. Potrafiło ono zjednać sobie nowego sojusznika, bo na mocy uchwały rady miejskiej, Grac przystąpił jako członek-założyciel do tegoż stowarzyszenia. Dnia 6. czerwca dokonano ukonstytuowania grupy tegoż stowarzyszenia dla I. dzielnicy wiedeńskiej. Najpierw przemawiał radca dworu baron Hock, a przedstawiwszy dzieje propagandy religijnej ze strony katolickiego Kościoła, dalej krwawe prześladowania innowierców, jakich katolicyzm miał się rzekomo dopuszczać i wreszcie ową swobodę obywatelską zagwarantowaną przez konstytucyę napomknął, że obecnie niema zupełnie znaczenia t. z. religia państwowa wobec równych przywilejów dla wszystkich religii. Gdy jednak zdaniem mowcy austryackie ministeryum oświaty staje we wielu wypadkach po stronie religii katolickiej i klerykalnego ducha do szkół ludowych stara się wprowadzić, zadaniem wszystkich stronnictw wolnomyślnych rozpocząć akcyę obronną »kräftig sich zeigen, nimmer sich beugen, rufet die Arme der Götter herbei«...

Redaktor znanej z wrogiego usposobienia przeciwko Kościołowi »Oesterreichische Schulzeitung«, nauczyciel ludowy i radca miejski we Wiedniu Edward Jordan, wystąpił przeciwko katolickiemu Związkowi szkolnemu, który aczkolwiek nie powinien mieć nic wspólnego z polityką, rokrocznie na walnych Zebraniach uchwala rezolucyę o przywrócenie władzy świeckiej papieża, co zdaniem Jordana jest grzechem przeciwko dzisiejszemu postępowi, a więc grzechem nie do darowania!... Przemawiał on tedy za umniejszeniem wpływu katechetów na szkoły, którzy według sądu ciasnej głowy Jordana mają tego wpływu za wiele, za zniesieniem modlitw przed nauką i po nauce, przez które dziatwa innych wyznań staje się niejako upośledzoną, wzywa rodziców, aby całą siłą sprzeciwiali się zarządzeniom co do wielkopostnych rekollekcyi w szkołach, a nauczycieli, aby nie dali się obałamucać przez agitatorów katolickiego Związku szkolnego. Zakończył zebranie docent uniwersytetu Dr. Ludo Hartmann, wskazując, że celem stowarzyszenia »Freie Schule« będzie naprawiać w szkołach to złe, jakie wyrządził tamże klerykalizm, popierany przez najwyższe władze szkolne, poczem dokonano wyborów do prezydyum tegoż stowarzyszenia, które ma zatruwać młode dusze ja-

dem niewiary i pracować, tak na szkodę Kościoła i państwa!!... A c. k. rząd?... On czeka, póki pożar się nie wzmoże, bo teraz go nie jest w stanie dojrzeć jeszcze!!

X X.



Pierwsza pielgrzymka
uczniów szkół średnich z Galicyi i Bukowiny
do Rzymu.

Kiedy w jesieni r. 1904 rozeszła się po kraju wiadomość, że Najprzewielebniejszy Ks. Arcybiskup, Ekscelencya Dr. Józef Bilczewski powziął myśl całkiem nową urządzenia pielgrzymki zbiorowej uczniów szkół średnich „ad limina Apostolorum“, odezwały się zaraz głosy, wyrażające przeróżne obawy i wątpliwość, odezwały się niestety także inne wołania z obozu antikatolickiego, które plan ten uznały za szkodliwy i zdrożny. Szkoda jednak słów i czasu na zbijanie zarzutów, których źródłem jest niechęć do wszelkich pielgrzymek i do „miejsc świętych“, a w szczególności do stolicy świata chrześcijańskiego; — kto jest tak zacietrzewiony w swoich uprzedzeniach, że stroni nawet od widoku nieocenionych skarbów i piękności Rzymu, tego napróżno usiłowalibyśmy przekonać, że pielgrzymka, o której mówimy, była czemś dobrem i pożytecznem. Inne znaczenie trzeba było przywiązywać do wątpliwości, wypowiadanych przez ludzi, którzy nie są w zasadzie niechętni pielgrzymkom, którzy jednak sądzili, że uczniom szkół średnich brakuje dojrzałości umysłowej potrzebnej do podróży do Rzymu, że zresztą bardzo niewielu z nich będzie mogło ponieść wydatki z nią połączone (jadący trzecią klasą płacili za kolej i za całe utrzymanie w ciągu podróży 200 koron) itd. Jeszcze zaś bardziej kiwano głowami, kiedy się dowiedziano, że liczba młodych pielgrzymów będzie większą niż się spodziewano i że wśród nich nie braknie nawet 6-ciu małych góralików, uczęszczających do pierwszej klasy (zacny bowiem dyrektor świeżo założonego gimnazyum w Nowym Targu pragnął koniecznie zawieźć swoich a dotąd ma tylko klasę 1-szą), że będą i inne zbyt młode lekkoduchy; — czyż takich „turystów“ można przewozić bezpiecznie koleją i okrętem? — czy oni stósować się będą do przestróg i przepisów nauczycieli? — czy nie potrzebują ustawicznego nadzoru, który będzie w drodze zbyt trudny? — a zresztą — czy oni mogą zwiedzać z pożytkiem i zajęciem ruiny starożytne i muzea włoskie?

Pytania te mogły istotnie wywołać troskę i niepokój w sercu Księdza Arcybiskupa, który tak gorąco ukochał młodzież, że dla niej napisał nawet osobny list pasterski i w sercach kierowników pielgrzymki: Dyrektorów Gerstmanna i Lityńskiego i innych nauczycieli duchownych i świeckich, którzy mieli oprowadzać liczne stosunkowo grupy (po 30-u i kilku uczniów). Dziś możemy powiedzieć, że były wprawdzie niejakie kłopoty i trudności, spowodowane głównie nadmiernym napływem uczestników pielgrzymki, że pewna część młodzieży okazała się nie dosyć dojrzałą i zamało przygotowaną do takiej podróży (— są to cenne wskazówki na przyszłość! —); że jednak, wogóle mówiąc, pielgrzymka udała się, dzięki Bogu, nadspodziewanie dobrze i że uczniowie muszą się poczuwać do wielkiej wdzięczności dla tych, którzy byli jej przewodnikami zwłaszcza dla Togo, który był głównym jej organizatorem.

I.

Buda-Peszt.-Fiume.-Abbazia.-Na parowcu.

Dnia 15. kwietnia 1905 było szczególnie gwarno i wesoło w pociągach, zdążających od granicy galicyjskiej, z Ławocznego i Orłowa, do stolicy węgierskiej. Bo też wiozły one 320-tu młodzieńców pełnych życia i temperamentu, a nadto radośnem podnieconych wzruszeniem: wszak mieli zobaczyć po raz pierwszy ziemię, przez tylu artystów i poetów sławioną, kraj,

„Gdzie cytryna dojrzewa,
Pomarańcz blask
Majowe złoci drzewa, —
Gdzie wieńcem bluszcz
Ruiny dawne stroi,
Gdzie buja laur
I cyprys cicho stoi“; —

mieli zobaczyć „wieczne“ miasto, które zajęło w dziejach powszechnych stanowisko tak wyjątkowe, którego mury milczące mówią tak wyraźnie o świetnych tryumfach i o klęskach, wstrząsających do głębi duszę słuchacza, — mieli oglądać najsłynniejsze arcydzieła sztuki, zdobiące „piękną“ Florencyę i jeszcze piękniejszą królowę niegdyś Adryatyku: nic więc dziwnego, że młoda krew gorąca raźniejszem biła tętnem, że śmiały się oczy i usta do przemykających szybko przed oknami wagonu równin zielonych i pagórków, słońcem wiosennem oblanych. Chociaż więc podróż przez kraj Madziarów nie należy do szczególnie przyjemnych, bo jedzie się ciągle płaszczyzną, jednostajnym wyglądem nużącą, jedzie się długo, bo cały dzień i dwie noce, — a noce te dają się trochę we znaki, gdy się je przepędza na twardych ławkach i podłogach przepełnionego wagonu, — to przecież tylko niektórym, słabszej budowy chłopcom, mina trochę zrzedła po nocy źle przespanej. Wszyscy jednak zwiedzali w drugim i trzecim dniu podróży żwawo i z fantazyą miasta, przez które prowadziła nas droga.

Z wielkiem zajęciem oglądaliśmy wspaniałe, czyste, proste i szerokie ulice Pesztu i stary Budzin, który wznosi się tak imponująco nad falami modrego Dunaju ze swoim zamkiem królewskim i z pięknie odnowionym kościołem św. Macieja, „bazylikę“ św. Leopolda (jeszcze nie skończoną), bogato ozdobioną mozaikami i przypominającą kościół św. Piotra w Rzymie (szkoda, że malowidła, zamieszczone w ołtarzach, nie mogą uchodzić za dzieła pierwszorzędne). Ogromnym przepychem odznacza się nowy parlament, zbudowany nad brzegiem Dunaju, w miejscu najpiękniejszem, kosztem 32 milionów koron, w stylu gotyckim. Wnętrze lśni się całe od złota i żywych kolorów: posłowie do cislitawskiej „Rady państwa“ muszą czuć się bardzo upokorzonymi, kiedy zwiedzają te sale posiedzeń, na których przystrojenie nie żałowano kosztów i kiedy porównywają z niemi ubikacye aż nadto skromne parlamentu wiedeńskiego. Ale z drugiej strony trudno się dziwić, że przepych ten spotkał się z krytyką, która uznała go za przesadny, zarzuciła mu brak estetycznej miary i wytwornego smaku; — zarzuty te skróciły podobno życie twórcy tego gmachu Emerykowi Steindlowi.

Z niemałą ciekawością pospieszyłem także ze swoją grupą do krajowej galeryi obrazów (dawniej Esterhazy'ego), dowiedziawszy się z przewodnika Woerl'a, że ona posiada w swoich 22 salach dużo dzieł bardzo cennych Murilla i innych mistrzów najsławniejszych. Znalazłem jednak daleko mniej niż się spodziewałom. Nie mam wprawdzie powodu do powątpiewania o autentyczności wszystkich tych malowideł, przypisanych Murillowi, Luiniemu, Ruijsdaelowi, Halsowi itd., ale znaczna ich część wyda się bardzo podejrzaną każdemu, kto przypatrzył się z uwagą utworom tych mistrzów, zdobiącym największe galerye europejskie. Są tu np. 2 portrety i „narodzenie Parysa“,

które miał namalować Giorgio Barbarelli, zwany Giorgione, których jednak nie można nawet porównać z dziełami tego mistrza, uznanymi przez nowszą krytykę za autentyczne. Inne znów obrazy mogą być wprawdzie rzeczywiście utworami malarzy znakomitych, którym są przypisane, ale w każdym razie należą one do utworów mniej wybitnych, — po części zapewne młodzieńczych — i nie czyniących wielkiego wrażenia (Murillo: Ucieczka do Egiptu, Chrystus rozdzielający chleby, Św. Rodzina, Madonna, Św. Józef z Dziecięciem Jezus, portret mężczyzny; Rafael: Madonna, przypominająca wiedeńską, z epoki najwcześniejszej; Francesco Francia: dwie Madonny; Luini: Święta Rodzina i Madonna; Correggio: Madonna, karmiąca Dziecię Jezus; Dürer i Rembrandt: portrety; Van Dyck: Trójca św. i portret pary małżeńskiej itd.). Dlatego też sale galeryi bywają zwykle puste (nawet w niedzielę, kiedy wstęp jest wolny) i mało kto dla niej przybywa do Pesztu.

Nie ściągną też cudzoziemców liczne posągi spiżowe, którymi Madziarzy zdobią swoją stolicę: przed poważnym, renesansowym gmachem akademii stanął na wysokim cokole hr. Szczepan Széchényi w stroju narodowym; niedaleko niego siedzi na krześle, w otoczeniu czterech figur alegorycznych (nic nie mówiących) Franciszek Deak; trochę dalej widzimy cenionego w ojczyźnie swojej pisarza i ministra oświaty Eötvös'a, gdzieindziej palatyna arcyksięcia Józefa, Zriny'ego itd. W Budzinie rzuca się w oczy efektowny „pomnik wolności" (na zgruchotanej armacie stoi honwed z pałaszem w prawej ręce i ze sztandarem w lewej). Nie można wymagać od cudzoziemców, żeby oglądali te dzieła z wielkiem zajęciem i upodobaniem: cnoty i zasługi tych wielkich mężów nie są prawie nikomu znane (z jedynym wyjątkiem bohaterskiego obrońcy Szigetu) po za granicami Węgier, same zaś ich postaci nie odznaczają się ani pięknością rysów, ani potęgą wyrazu. Jakkolwiek więc pomniki te posiadają niepoślednie zalety techniczne i przyznać trzeba artystom, że nietylko buty i spodnie węgierskie (co było zadaniem bardzo niewdzięcznem), ale i głowy odtworzyli z wielką biegłością i poprawnością w spiżu, to przecież żałuje się i tej pracy i tej masy spiżu i kosztów, jakich wymagało odlanie tak znacznej liczby posągów. Ale coś podobnego da się powiedzieć i o innych miastach europejskich, które również chorują na pomnikomanię, — o ministrach zjednoczonej Italii, którzy stoją na ulicach rzymskich (jak np. Minghetti) uwiecznieni w marmurze i z wyrazem smutnej zadumy zdają się liczyć przejeżdżające przed ich stopami wozy tramwajowe: nie są oni cenną ozdobą dla miasta, dla siebie zaś nie znaleźli miejsca stósownego pod gołem niebem, wśród zgiełku ulicznego, z którym nic ich nie łączy. Jakże smutno wyglądają pomniki tego rodzaju, kiedy je porównamy z Colleonim Verrocchia, który jest jedną z najwspanialszych ozdób Wenecyi, a choćby tylko z Maryą Teresą Zumbusch'a w Wiedniu! Miasta, których nie stać na posągi piękne, użyłyby swoich pieniędzy bez porównania lepiej, gdyby za nie budowały domy dla robotników i inne gmachy dla ludności potrzebne.

Z Pesztu wyjechaliśmy pod wieczór, a na drugi dzień rano przybyliśmy do Fiume (Rjeki) i zwiedziliśmy to miasto dosyć ciekawe, które przyczepiło się silnie do stoków skalistych, zniżających się ku pięknej, sinej zatoce. Pełno tu kamieni i drzew zielonych i światła. Nietylko ludność zamożniejsza, ale i uboższa wygląda tu czerstwo i zdrowo: znać tu już wpływ dobroczynny włoskiego słońca i powietrza, któremu ci ludzie głównie zawdzięczają swą rzeźkość i wytrzymałość na zimno i na gorąco.

O 12-tej w południe zapełniła rzesza młodzieży, której towarzyszyło 60-ciu księży i nauczycieli i do której przyłączyło się około 120 osób, należących do „grupy B" (razem więc było nas około 500 osób), dwa wynajęte dla nas parowce i popłynęliśmy do Abbazyi. Największa część naszego towarzystwa widziała po raz pierwszy morze i nie mogła dość nacieszyć się jego widokiem. Miejscowość klimatyczna Abbazia (nazwa ta oznacza: „opactwo" i pochodzi od znajdującego się tam klasztoru), położona jest bardzo pięknie tuż nad brzegiem morskim; gustowne jej wille i wspaniałe ogrody wyglądają uroczo w pogodnym czasie wiosennym, w dniach, w których sprawdzają się słowa Goethe'go:

„Ein sanfter Wind vom blauen Himmel weht,
Die Myrte still und hoch der Lorbeer steht".

Niestety jednak doznają i te krainy południowe, szczęśliwsze zresztą od naszej, dość często nieprzyjemnych zmian atmosferycznych, nietylko w zimie, ale i na wiosnę, a zmiany te odczuwa najdotkliwiej przybysz z północy, którego chore płuca potrzebują pogody, słońca i ciepła. I nam dała się kilkakrotnie we znaki w ciągu podróży niestałość powietrza kwietniowego, gdyśmy płynęli z Rjeki do Ankony i później, gdyśmy Rzym zwiedzali.

Po czterogodzinnym pobycie w Abbazyi, wróciliśmy do Rjeki. Gdyśmy przybijali do portu, zdarzył się jednemu z uczniów przypadek bardzo niemiły, który jednak nie pociągnął za sobą na szczęście następstw szkodliwych: wysiadł on prędzej od innych, stanął na podmurowaniu, opasującem wybrzeże i (jak wszędzie we Włoszech) nie zaopatrzonem żadną balustradą, a zbliżywszy się niebacznie do morza, skąpał się w jego falach; wydobyto go jednak natychmiast, rozebrano i położono do łóżka w kajucie, odzież zaś rozwieszono przy machinie okrętowej, żeby prędzej wyschła. Wypadków takich mogło być więcej i mogły skończyć się gorzej, bo część młodzieży była bardzo nieostrożna. — ale Opatrzność Boska zachowała ją od przygód nieszczęśliwych.

Tego samego wieczora wypłynęliśmy na pełne morze na dwóch parowcach („Hungaria" i „Daniel Ernö"), które nas miały zawieść do Ankony. Żegluga ta stanowiła najuciążliwszą część podróży naszej, ale pocieszaliśmy się słowami Eneasza: „Et haec meminisse iuvabit (i to sprawiać będzie przyjemność we wspomnieniu)!" Okręty były za małe dla naszej gromady (nie można zaś było dostać większych, bo żaden inny nie kursuje na tej przestrzeni) a ten brak miejsca dolegał nam tem bardziej, że jechaliśmy nocą zimną i niepogodną, po dwóch nocach przepędzonych w pociągu. Każdy chciał się wygodnie gdzieś położyć i przespać, a tymczasem łóżek i sof starczyło ledwie dla piątej może części. Zaczęto więc głośno narzekać na ajencyę peszteńską, której komitet powierzył zamówienie okrętów, pociągów i hoteli, a której urzędników, towarzyszących nam przez całą drogę, przezwali uczniowie „kaloszami" (— ponieważ jeden z nich nazywał się Galosz Koloman) i już można się było obawiać, że większość uczniów i starszych (przynajmniej na parowcu „Hungaria", którym i ja jechałem) objawi swoje niezadowolenie (dość uzasadnione) w sposób, nie licujący z charakterem pielgrzymki. Ale w końcu wszyscy poddali się konieczności i wyciągnęli członki, snu spragnione, gdzie kto mógł znaleźć miejsce: jedni w kajucie, drudzy na podłodze kurytarza, reszta na pokładzie. Niebawem nastała cisza i już mieliśmy nadzieję, że noc przepędzimy spokojnie w objęciach snu, który tak jest miły znużonym trudami podróży wędrowcom. Okręt kołysał się lekko, miarowo...

Niedługo jednak cieszyliśmy się przyjemnością, którą sprawia jazda na okręcie po morzu spokojnem. Kołysanie stawało się od godziny mniej więcej 10-tej coraz silniejszem i wywołało u przeważnej większości przykre następstwo, zwane chorobą morską. Jeden za drugim wstawał z miną nieswojską, wychodził na pokład i kłaniał się falom wzburzonym. W takich okolicznościach wcale nie wesołych, płynęliśmy przez osiem jeszcze godzin, oczekując z tęsknotą chwili, w której mieliśmy zawinąć do portu. O 6-tej rano (dnia 17. kwietnia) byliśmy w Ankonie i wnet

prawie wszyscy dobry odzyskali humor, przekonawszy się na sobie samych, że choroba morska jest wstrząśnieniem organizmu wprawdzie przykrem, ale dobrze oddziaływającem na zdrowie. (C. d. n.)

Nauka o mszy świętej.

(Dokończenie).

Mówi św. Łukasz, że stanął przy samych drzwiach, spuścił oczy na ziemię, nie śmiał spojrzeć ku niebu, lecz bił się w piersi i mówił do Boga: Panie, zlituj się nade mną, bo jestem wielki grzesznik. A zatem, on wręcz inaczej czyni, niż wielu chrześcijan, którzy często z dumną i arogancką miną wchodzą do kościoła. Chociaż może więcej grzechów mają na sumieniu niż włosów na głowie, mimo to stają przed obliczem Boga z wielką obojętnością, a nawet rodzajem pogardy. Żegnają się wodą święconą bezmyślnie, jak gdyby brali zwykłą wodę do umycia rąk. Nie wiedzą o tem, że gdy się żegnamy wodą święconą z uszanowaniem, otrzymujemy przebaczenie grzechów powszednich i usposabiamy się do godnego słuchania Mszy św. Celnik w swej pokorze, uważa się za niegodnego, by stanął przed obliczem Boga, kruszy się na widok grzechów swoich, nie śmie wzroku podnieść ku niebu. Zupełnie inaczej zachowuje się niż wielu chrześcijan z imienia tylko, którzy w kościele szukają wygód, którzy nie chcą uklęknąć, co najwyżej zginają kolana tylko na krześle, a w czasie podniesienia z biedą uchylają głowę. Najczęściej rozciągają się wygodnie na krześle i zakładają nogę na nogę. Nie chcę już mówić o tych, którzy zamiast w kościele opłakiwać swe grzechy, roztaczają tu swą próżność i zniesławiają pokornego Zbawiciela świata. Niektórzy w kościele zwracają na siebie uwagę i podniecają w sobie ogień wstrętnych namiętności. Nasz celnik bił się w piersi i żałował za grzechy popełnione. O gdyby chrześcijanie za dni naszych zechcieli naśladować upokorzonego celnika, wracaliby do domu z obfitemi korzyściami, jako pszczółka wraca do ula, znalazłszy upragnione kwiaty.

Przedewszystkiem starajmy się obudzić w sobie świętą pokorę. Do tego zachęca nas kapłan, gdy głęboko schylony u stopni ołtarza odmawia Confiteor czyli spowiedź powszechną. Wyobraża on wtedy Jezusa Chrystusa; więc się korzy i bierze niejako na siebie grzechy wszystkich parafian. Gdybyśmy wiedzieli, czem jest Msza św., lepiejbyśmy jej słuchali, otrzymalibyśmy dużo łask i uniknęlibyśmy wielu niebezpieczeństw. Opowiem wam przykład, jak dziwnie Bóg opiekuje się tymi, którzy pobożnie słuchają Mszy św. Św. Elżbieta, królowa portugalska, krewna św. Elżbiety węgierskiej, była nadzwyczaj miłosierną dla ubogich i sama rozdzielała im jałmużny lub posługiwała się w tym celu drugimi, szczególnie używała do tej posługi jednego pobożnego pazia. Wskutek tego drugi paź z zazdrości nienawidził swego kolegę, powiernika królowej. Oskarżył go więc przed królem, że utrzymuje z królową zakazane stosunki. Nie badając wcale, postanowił król pozbyć się potajemnie oskarżonego. Gdy przechodził koło miejsca, gdzie wypalano w wielkiej ilości wapno, zawołał do siebie ludzi, którzy podtrzymywali ogień w piecu i powiedział, że tu przyszle nazajutrz rano pazia, z którego jest niezadowolony, z zapytaniem, czy spełnili rozkaz królewski; niechże go wtedy chwycą i wrzucą natychmiast do ognia. Po tych słowach wrócił do domu i nakazał paziowi swej żony, udać się wczesnym rankiem z owem zapytaniem. Bóg nie opuszcza nigdy tych, którzy Go miłują. Paź przechodził koło kościoła i usłyszał, że dzwonią na podniesienie. Wchodzi więc do świątyni, aby oddać pokłon Panu Jezusowi i wysłuchać do końca Mszy św. Po niej zaczyna się druga, dalej trzecia, a on zostaje na wszystkich. Król się niecierpliwi, chciałby się dowiedzieć, czy spełniono jego rozkazy. Posyła zatem swojego pazia, z zapytaniem, czy się stało po jego woli. Ludzie zajęci wypalaniem wapna, myśleli, że to pierwszy paź, więc go chwycili i rzucili do ognia. Tymczasem nasz paź, po skończonych mszach idzie spełnić rozkaz królewski. Na zapytanie dali ludzie potwierdzającą odpowiedź, którą zaraz komunikuje swemu monarsze. Gdy król widział, że się nie stało według jego woli, popadł w prawdziwą wściekłość i pytał młodzieńca, gdzie tak długo bawił. Paź powiedział, że słysząc dzwonek na podniesienie, wstąpił do kościoła i słuchał trzech Mszy św., bo jego ojciec umierający, udzieliwszy mu ostatniego błogosławieństwa, zachęcał, by nigdy nie wychodził z kościoła, zanim się Msza skończy, to bowiem sprowadza na człowieka wiele łask i chroni od nieszczęść. Słysząc taką odpowiedź, wszedł król w siebie, poznał sprawiedliwe sądy Boże, zrozumiał, że królowa i paź byli niewinni, że spalony młodzieniec fałszywie oskarżył z zazdrości swego kolegę. Oto, jak Msza św. ocaliła tego człowieka od śmierci.

Od podniesienia powinniśmy słuchać Mszy świętej z usposobieniem dobrego łotra na krzyżu. Otwiera on bowiem swe oczy i uznaje w osobie Jezusa Chrystusa swego Zbawcę. Przy Jego boku korzystał bardzo wiele przez owe trzy godziny. Przybito go do krzyża; ma tylko serce i język wolny i z wielką ochotą składa je w ofierze Jezusowi Chrystusowi. Oddaje Mu serce przez wiarę i nadzieję i błaga z pokorą o miejsce dla siebie w raju. Poświęca Mu język, bo wyznaje głośno niewinność i świętość Zbawiciela, bo mówi do swego towarzysza: »My słusznie cierpimy, ale ten jest niewinny«. Gdy ludzie bluźnią Zbawicielowi, on staje się równocześnie Jego obrońcą; opuszczają Go uczniowie, a on się za Nim oświadcza. Co więcej, taką pała gorliwością, iż chce nawrócić łotra po lewicy. Nie dziwmy się, drodzy bracia, cnotom tego łotra, bo on patrzył na umierającego Jezusa Chrystusa i zaczerpnął stąd mnóstwo łask. O gdybyśmy w czasie podniesienia mieli żywą wiarę, jedna Msza św. uwolniłaby nas z nałogów i uczyniła prawdziwymi pokutnikami i doskonałymi chrześcijaninami.

Spytacie mnie może: I czemuż zawsze jesteśmy jednacy, nie zmieniamy się na lepsze, choć tylu Mszy wysłuchaliśmy? Bo w kościele obecni jesteśmy tylko ciałem, a duch błąka się gdzieindziej. Ileż razy źle wysłuchaliśmy Mszy św. i wskutek tego nowymi grzechami obarczyliśmy swe sumienie? Do św. Mechtyldy powiedział Pan Jezus te słowa: Wiedz, moja córko, że w godzinę śmierci Święci przyjdą na pomoc tym, którzy słuchają pobożnie Mszy św., obronią ich przed napaściami złego ducha i zaprowadzą ich dusze na łono Boże«.

Słuchanie Mszy nie przyniesie wcale uszczerbku naszym doczesnym interesom, owszem sprowadzi nam błogosławieństwo Boże.

Pytał raz ubogi i bezdzietny rzemieślnik swego kolegę z zawodu, skąd to może pochodzić, że z liczną rodziną żyje sobie wygodnie i bez troski o chleb codzienny, gdy przeciwnie on, choć pracuje we dnie i w nocy, czasem nawet w niedzielę, przecież musi walczyć z nędzą. Wyjaśnił tę zagadkę swemu biednemu koledze tem, że codziennie idzie na Mszę św. i dlatego błogosławi mu Bóg. Słusznie powiedział Zbawiciel, abyśmy szukali najpierw królestwa Bożego i sprawiedliwości Jego, a inne rzeczy będą nam przydane. Głupi ten, który liczy jedynie na swą pracę i żałuje czasu na mszę, która nigdy nikogo nie zubożyła. Ubogi rękodzielnik zastosował się do rady swego kolegi i począł codzień bywać w kościele i przekonał się wnet z własnego doświadczenia, że Stwórca nie opuszcza tych, którzy w Nim ufność pokładają, któ-

rzy nie liczą na własne jedynie siły. Niechże zechcą o tem pamiętać ci, którzy na modlitwę poranną i wieczorną, na wysłuchanie Mszy św. raz na tydzień nie mają czasu! Patrzcie na swego pasterza duchownego, który myśli o chwale Bożej i zbawieniu bliźnich, któremu mimoto nie brakuje rzeczy potrzebnych do życia. — Na to powiadacie: Księdzu Proboszczowi ludzie dają, a mnie nikt nic nie przyniesie. Wiedźcież, że o mnie pamięta Opatrzność Boża — tam a nie gdzieindziej są me bogactwa i skarby. Nieszczęśliwy człowiek, który się tyle kłopota bez Boga i tu żyje w nędzy i naraża się jeszcze na wieczne potępienie!

Najmilsi w Panu! w czasie Mszy św. najprędzej otrzymamy od Boga łaskę nawrócenia. Widział św. Paweł pustelnik, jak wchodził do kościoła na mszę św. człowiek pięknie ubrany w towarzystwie złych duchów, a wychodził w otoczeniu licznego orszkaku Aniołów. »O Boże, wołał Święty, jak miłą musi być dla Ciebie Msza św., kiedy takich dokonuje przemian. Sobór trydencki wyraźnie powiada, że Ofiara mszy św. uspokaja gniew Boży, sprawia nawrócenie grzeszników, uwesela niebo, pomaga duszom w czyścu i sprowadza błogosławieństwo na ziemię. — Bracia moi, gdybyśmy wiedzieli, czem jest ta ofiara, z jak wielką czcią znajdowalibyśmy się na niej! Niestety, taki skarb posiadamy, a przecież nędzni i ubodzy jesteśmy, i to z własnej winy i niedbalstwa!

Wzorem dla nas niech będzie Setnik, gdy duchowo lub rzeczywiście przystępujemy do Komunii św., jak wyżej zaznaczyłem. Kościół św. przy każdej Mszy i rozdzielaniu Komunii używa jego słów, pełnych pokory. »Panie, wołał ten człowiek z pokorą, nie jestem godzien, abyś wszedł do domu mego, ale rzeknij tylko słowo, a będzie uzdrowiony sługa mój«. Gdyby Pan Jezus widział i u was tę samą pokorę, tę samą znajomość własnej nicości, wchodziłby także do serc naszych z tem samem weselem i zdrojami łask! Ileż zaczerpnęlibyśmy tu mocy do walki z wrogami zbawienia! Jeżeli przeto chcemy szczerze się nawrócić, wysłuchajmy w tej intencyi nabożnie kilku mszy św., a Bóg nam niezawodnie dopomoże do poprawy! Pewna dziewczyna przez kilka lat prowadziła nieuczciwe życie z młodym człowiekiem. Nagle ogarnęła ją trwoga, weszła w siebie, szczerze się wyspowiadała i odmieniła się zupełnie. Co było tego powodem? Oto msze św., których słuchała w każdą sobotę jej matka przed śmiercią, z prośbą o nawrócenie swej córki.

Nic przeto dziwnego, że dyabeł tyle się mozoli, byśmy mszy źle słuchali, że w kościele zaprząta nam głowę tylu obcemi myślami! Ileż osób zachował Pan Bóg od moralnych i doczesnych nieszczęść dlatego, że słuchali pobożnie mszy św.? Opowiada św. Antonin, że w jedno święto wybrało się na polowanie dwóch młodych ludzi, z których tylko jeden wysłuchał Mszy św. Gdy już byli w drodze, ściemniło się niebo i poczęło się strasznie błyskać i grzmieć. Obłoki zdawały się być w ogniu. Wśród okropnych piorunów dolatywał ich głos: »Zabijcie tych nędzników, zabijcie ich!« Po chwili wyrwał się piorun z obłoków i zmiażdżył na miejscu tego, który poszedł na polowanie, nie wysłuchawszy mszy św. Towarzysz zabitego padł z trwogi na ziemię i zdawało mu się, że tajemny głos i jego także domaga się śmierci, gdy inny go broni, mówiąc: »Nie, nie uderzaj, bo on dziś rano był na mszy św.« I rzeczywiście msza św. uratowała go od zguby.

Ludzie obojętni i opieszali w służbie Bożej, zaniedbujący mszę św. tracą bardzo wiele. I tak często giną nędznie i marnie; majątek ich rujnuje się, serce traci zwolna wiarę i podwójnie ci ludzie są nieszczęśliwi: duchowo i fizycznie.

III. Przeważnie ludzie światowi słuchają Mszy św. z usposobieniem Faryzeuszów, złego łotra, albo Judasza. Powiedzieliśmy już, że Msza św. jest pamiątką śmierci Jezusa Chrystusa na Kalwaryi i dlatego pragnie Zbawiciel, byśmy każdą Mszę św. odprawiali na tę pamiątkę. Niestety, z jękiem musimy wyznać, że kiedy na ołtarzu odnawia się pamięć cierpień Jezusowych, wielu z obecnych ponawia zbrodnię Żydów i katów, którzy Zbawiciela przybili do krzyża. W czasie konania Chrystusa, trojakich można było zauważyć ludzi. Jedni przechodzili obojętnie, bez żadnego współczucia, twardsi od martwych istot. Drudzy przychodzili na miejsce ukrzyżowania, zastanawiali się nad okolicznościami męki Chrystusowej, ale tylko dlatego, by szydzić ze Zbawiciela i bluźnić. Mała tylko liczba płakała gorzko na widok cierpień okrutnych Zbawiciela świata. Zastanówcie się, do której należycie liczby. Nie będę mówił o tych, którzy biegną na Mszę św. do obcej parafii, bo mają tam różne sprawy do załatwienia, albo o tych, którzy jej słuchają tylko do połowy, bo muszą ze sąsiadem wypić w szynku choć jedną butelkę. Ci ludzie postępują tak, jakgdyby nie mieli duszy do zbawienia: utracili wiarę, a z nią wszystko. Zastanowimy się jedynie nad tymi, którzy regularnie chodzą do kościoła. Jedni z nich idą tylko dlatego, bo chcą widzieć i być widzianymi, przychodzą roztargnieni, jakby na targ, jarmark lub na bal. W kościele zachowują się nieskromnie i z biedą klękają na obydwa kolana w czasie podniesienia i komunii. Nie modlą się, bo wiary nie mają. Gdyby ci nieszczęśliwi mieli się udać do jakiejś wybitnej osobistości z prośbą o łaskę, myśleliby o tem przez całą drogę, wchodziliby do domu owej osoby z wielkiem ułożeniem, kłanialiby się nizko, nie myśleliby o siedzeniu, spuściliby oczy, staraliby się należycie wyrażać i przemawiać odpowiednim tonem głosu. Gdyby w czem uchybili owej osobie, prosiliby zaraz o przebaczenie, mówiąc, że są ludźmi prostymi i nie znają się na delikatnych formach. Gdy ich tacy dygnitarze przyjmują łaskawie, cieszą się tem z całego serca. Czyż to porównanie nie powinno nas zawstydzić, że dla zysków doczesnych, dla zyskania protekcyi postępujemy tak oględnie i roztropnie, a do kościoła przychodzimy z pewnego rodzaju wstrętem, lekceważeniem, że stajemy bez uszanowania przed Bogiem, który umarł dla naszego zbawienia i codziennie ofiaruje się za nas Swemu Ojcu niebieskiemu? Czy przezto liche stworzenie, jakiem jest człowiek, nie wyrządza ciężkiej zniewagi Jezusowi Chrystusowi? Zaprawdę, iluż to ludzi więcej popełnia grzechów w czasie jednej Mszy św. w niedzielę, niż przez cały tydzień? Jedni nie myślą wcale o Bogu, inni rozmawiają, drudzy oddają się myślom pysznym, a nawet brudnym. Po głowie ich snują się wyobrażenia, jakie zły duch tylko im podda. Oglądają się często na wszystkie strony, spoglądają, śmieją się i zasypiają jak gdyby byli w łóżku. I nic dziwnego, że z kościoła wychodzą większymi grzesznikami, niż weszli.

Może ktoś z was odezwie się: A więc lepiej nie iść na Mszę św. — Wiecie, co trzeba czynić. Iść do kościoła, słuchać Mszy św. należycie i złożyć potrójną ofiarę Bogu: Ofiarę ciała, ducha i serca. Przez ofiarę ciała, rozumiem skromną i pokorną postawę w obliczu Jezusa Chrystusa. Z umysłu i rozumu naszego złożymy ofiarę Bogu, jeżeli przy słuchaniu Mszy św. przejmiemy się uczuciami własnej nicości i niegodności, jeżeli unikać będziemy roztargnień. Złożymy ofiarę z serc naszych, miłując Boga całą duszą, jak tego domaga się Bóg: »Synu mój, daj mi serce twoje«.

Kończę, powtarzając, żeśmy nieszczęśliwi, gdy źle słuchamy Mszy św. Albowiem odrzucenie znajdujemy tam, gdzie inni czerpią zbawienie. Oby Bóg sprawił, byśmy przy każdej sposobności słuchali Mszy św. i czerpali stąd obfite zdroje łask, byśmy na nią przychodzili

z jak najlepszem usposobieniem i sprowadzali na siebie błogosławieństwo Boże, jako zadatek szczęścia w tem i przyszłem życiu! Tego wam życzę. Amen!

Z Towarzystwa wzajemnej pomocy Kapłanów.

Dnia 19. czerwca b. r. odbyło się w auli duchownego Seminaryum w Tarnowie doroczne Zgromadzenie delegatów. Porządek czynności Zgromadzenia był następujący:

O godz. 7. rano odprawiono nabożeństwo żałobne za dusze zmarłych członków Towarzystwa, następnie o godz. 8. wotywę na uproszenie pomocy Ducha św.

O godz. 9. Delegaci i Wydział centralny złożyli gremialnie homagium Najprzewielebniejszemu ks. Biskupowi, który w przemówieniu swem podnosząc cele Towarzystwa wyraził nadzieję, że odbycie posiedzenia w Tarnowie przyczyni się do większego zainteresowania się księży dyecezyi tarnowskiej sprawami Towarzystwa, wreszcie udzielił obradom arcypasterskiego błogosławieństwa.

Następnie rozpoczęto posiedzenie, które trwało z krótką przerwą 5 godzin. Załatwiono na niem między innemi następujące sprawy:

1. Przyjęto do wiadomości sprawozdanie z czynności Wydziału centralnego i Wydziałów dyecezyalnych.

2. W sprawie asekuracyi kościołów i budynków plebanalnych wywiązała się obszerna dyskusya. Dla głębszego rozpatrzenia tej sprawy wybrano komisyę, która następnie przedłożyła delegatom następujące wnioski: *a)* Wydział centr. odniesie się do Zgromadzenia delegatów Towarzystwa wzaj. ubezpieczeń w Krakowie z żądaniem, aby statut Towarzystwa zmieniono w tym kierunku, iż w zgromadzeniu delegatów bierze udział z charakterem i prawami innych delegatów czterech kapłanów ob. łać., po jednym z każdej dyecezyi. Delegatów tych przedstawia Wydział centr. Towarzystwa wzaj. pom. kapłanów za pośrednictwem odnośnego Ordynaryatu, któremu przysługuje prawo zatwierdzania kandydata wybranego przez Wydział centr. Towarzystwa kapłanów. *b)* Wobec projektowanego Towarzystwa ubezpieczeń ludowego, Towarzystwo kapłanów zajmuje stanowisko życzliwie wyczekujące. Gdyby się okazała potrzeba powzięcia w tej sprawie stanowczej uchwały, Wydział centr. ma prawo i obowiązek zwołania nadzwyczajnego zgromadzenia delegatów. *c)* Gdyby zagrażało z tej strony jakie niebezpieczeństwo, Wydział uwiadomi o tem Konsystorze. Delegaci wnioski powyższe przyjęli i uprosili do czuwania nad tą sprawą ks. A. Wesolińskiego.

3. Na wniosek komisyi rewizyjnej, która w dniu 15. czerwca przeprowadziła szkontrum kasy i rewizyę ksiąg Towarzystwa, udzielono Wydziałowi centr. absolutoryum z rachunków za r. 1904 i 1905 po dzień dzisiejszy.

4. Sprawozdanie z wydawnictwa »Gazety Kościelnej« przedłożył ks. W. Puchalski. Dochód w gotówce 10·976 k. 37 h., w zaległościach 1729 k. Po strąceniu 10% z zaległości na ewentualne straty, dochód pokryje wydatki w kwocie 11.821 k. 60 h. i pozostanie nadwyżka 736 k. 7 h. jako całoroczne honoraryum dla redaktora. Pozostałość kasowa z lat poprzednich w kwocie 284 k. 83 h. przenosi się na rok następny.

Ponieważ ks. Redaktor już kilkakrotnie oświadczył, że składa redakcyę z powodu licznych swych zajęć, delegaci obszernie omawiali sprawę dalszego wydawnictwa Gazety Kościelnej, a wreszcie uchwalono *a)* sprawę wyszukania redaktora przydziela się Wydziałowi centr. do załatwienia: *b)* Wydział centr. ma się starać o potrzebne fundusze, któremiby można Gazetę subwencyonować.

5. Uchwalono skalę zapomóg stałych według wniosków referenta ks. Dr. Jougana tj., przyjęto 40% dla udziałów pięcioletnich, który z każdym następnym rokiem zwiększa się o ½ %.

6. Na wniosek Wydziału, przedłożony również przez ks. Dr. Jougana, przyznano Wydziałom dyecezyalnym na rok następny prawo wydania na zapomogi doraźne 80% od wkładek na doraźne zapomogi wpłaconych. Zaś 10% przeznacza się na administracyę, 10% do zapasowych funduszów doraźnych zapomóg.

7. Preliminowano budżet na r. 1906 w wysokości 13.700 k., przedłożony przez ks. J. Chęcińskiego. W dochodach: do funduszu stałych zapomóg 12.300 k., do funduszów doraźnych zapomóg 1200 k., do funduszów dobroczynnych 200 k. W rozchodach: na czasowe zapomogi 4170 k., na administracyę 1810 k., na koszta zgromadzenia delegatów i wydziału 300 k., ekwiwalent 130 k., do funduszu dyskrecyjnego 100 k., do funduszu żelaznego i rezerwowego stałych zapomóg 5.930 k., na doraźne zapomogi 960 k., do funduszów zapasowych doraźnych zapomóg 120 k., na cele dobroczynne 100 k., do funduszów dobroczynnych 80 k.

8. Na wniosek komisyi weryfikacyjnej, przedłożony przez ks. Swadowskiego, zatwierdzono uzupełniające wybory delegatów t. j. księży: Chmury, Czajkowskiego Winc., Czechowskiego, Dr. Jaszowskiego, Dr. Lenkiewicza, Szydelskiego, Gadowskiego, Lenartowicza, Piaskowego i Wilczkiewicza.

9. Na wniosek Wydziału przedłożony przez sekretarza, po długiej, bardzo ożywionej dyskusyi, uchwalono za przykładem wielu innych towarzystw ulokować część funduszów do wysokości 50 tysięcy kor., w realności we Lwowie i zezwolono obciążyć tę realność długiem do wysokości także 50 tysięcy kor. Dług ten zamortyzuje się czynszem, płynącym z wynajmu mieszkań w kamienicy, a czynszownikami będą w pierwszym rzędzie księża.

10. Aby członkom Towarzystwa przyjść w potrzebie z pomocą doraźną, a tem samem ożywić działalność naszego Towarzystwa, postanowiono na wniosek Wydziału przedłożony przez sekretarza, udzielać członkom w potrzebie zwrotnych zapomóg. Na ten cel wyznaczono 20 tysięcy kor., wysokość zapomogi ograniczono do tysiąca kor. i polecono Wydziałowi żądać od biorącego zapomogę dostatecznej gwarancyi zwrotu zapomogi i wszelkich kosztów administracyjnych.

11. Wybrano 3 członków do Wydziału centr. XX. Bryczkowskiego Mieczysława, Dziurzyńskiego Kazimierza i Boczara Józefa.

12. Wybrano Wydział dyecezyalny przemyski.

13. Wyrażono życzenie, aby przyszłe Zgromadzenie mogło się odbyć w Przemyślu.

Kończąc niniejsze sprawozdanie składamy gorące podziękowanie Przewielebnemu księdzu Rektorowi Dr. Dutkiewiczowi za gościnne przyjęcie i trudy, oraz wszystkim P. T. Konfratrom, którzy przyczynili się do odbycia Zgromadzenia!

Od Wydziału centr. Towarzystwa wzaj. pom. Kapłanów

pl. Kapitulny 7.

X. Dr. A. Jougan wiceprezes. — *X. J. Boczar* sekretarz.

Wiadomości dyecezyalne.

Dyecezya przemyska ob. łac.

Święcenia kapłańskie otrzymali z rąk ks. biskupa Dr. Józefa Pelczara w uroczystość Apostołów ŚŚ. Piotra i Pawła dnia 29. czerwca 1905, następujący dyakoni: 1) Barcikowski Władysław, 2) Beigert Ferdynand, 3) Bienięda Józef, 4) Dutkiewicz Tadeusz, 5) Gąsiorek Władysław, 6) Jamróz Jan, 7) Korpak Szymon, 8) Kotula Kazimierz, 9) Kreszko Karol, 10) Łańcucki Władysław, 11) Nowakowski Michał, 12) Rąpała Waleryan, 13) Stec Marcin, 14) Wnuk Ignacy, 15) Zielański Floryan.

Własność Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Kapłanów.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor Ks. Jan Chęciński. Z drukarni katolickiej, plac Bernardyński l. 2.